

Premiera w Teatrze Ludowym

Dobry interes

Zaczyna się niewinnie. W hotelowym apartamencie w Londynie dwójka biznesmenów ma sprzedać 30 ciężarówek dwójce innych biznesmenów. Wszystko jest przygotowane: kontrakt do podpisania, alkohol do rozmiękczenia kontrahentów i zamówione dwie panienki z agencji towarzyskiej dla tychże. Wystarczy podpisać i możemy się bawić. Niestety, pojawiają się żony sprzedawców i sprawy zaczynają się komplikować. Niemiecko-szwedzka spółka (Jacek Joniec — Kurt i Jacek Wojciechowski — Sven), wzięwszy stateczne matrony za panienki lekkich obyczajów, przez dwie godziny uwodzi je, choć i spóźnione „masażystki” także w końcu dotrą na miejsce, wciągając do zabawy zdesperowanych sprzedawców (Tadeusz Łomnicki, Krzysztof Górecki). I, jak to w farisie, wszystko skończy się dobrze.

Choć katastrofa wisi tu w powietrzu przez cały czas. Biznes się wymyka, mężowie muszą być świadkami degrengolady, udających prostytutkę, swoich żon, zaś te walczą o swoich facetów, wręcz wyrывая ich z objęć cór Koryntu. Dodajmy, że w objęciach tych jest im całkiem przyjemnie. Jerzy Fedorowicz reżysero



skroił tę historyjkę smakowicie. Przede wszystkim ustrzegł się farsowej pułapki trywialności i humoru rysowanego grubą krechą. To ważne, zwłaszcza, że niełatwo jest opowiedzieć erotyczną anegdotę bez dosłowności i wulgaryzmu. Choć przez cały czas trwania „Biznesu” śmiech na widowni niemal nie milknie, nie znajdziecie tu dowcipu z gatunku „pośliznął się na skórcie od banana”. Zamiast tego są świetne, subtelne pointy, znakomicie wygrywane przez wszystkich aktorów. Ci zaś stworzyli galerię wyrazistych postaci z precyzyjnie nakreślonymi charakterami. Miło jest patrzeć na ich przemiany. Przykładne żony Rose (Małgorzata Kochan) i Hilda (Magdalena Nieć) przy dwójce obcokrajowców wreszcie mogą

spełnić swoje erotyczne fantazje, o które pewnie same siebie nigdy nie podejrzewały. Aktorki znakomicie pokazują, jak w kurach domowych rodzą się lwice i demony seksu. Cudownie bezbronny i safandulowaty księgowy Norman (Krzysztof Górecki) stanie się loweląsem co się zowie. I nawet, heroicznie walczący ze swoją wiernością Stanley (świetny Tadeusz Łomnicki), polegnie wobec naporu libido. Funkcjonalna i prosta scenografia Elżbiety Krywskiej, trafione gesty, miny, ruch oraz bogaty wachlarz dowcipu i słownego i sytuacyjnego niech będą zachętą do obejrzenia tego spektaklu. Ku radości, ale także ku przestrodze dla tych, którym zdarza się wyjeżdżać w interesach poza domowe ciepłoko.

Magda HUZARSKA

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Ulga w płucach

Gdy w wyreżyserowanej przez Jerzego Fedorowicza farsie „Biznes”, autorstwa Johna Chapmanna i Jeremy'ego Lloyda, na scenie pojawia się Małgorzata Kochan – powietrze łagodnieje. Trochę tak, jak o zachodzie słońca brunatne skóry opadłych kasztanów na Plan-tach. Zmierzch wolno wygasza te kuliste lśnienia pod no-gami, w górze ani cienia obłoków, idzie się, idzie się, idzie się, albowiem – się idzie. I do domu jakoś nie skoro wracać. Jest dobrze. Po prostu dobrze. Ulga wkracza do płuc. Która to godzina? Dopiero ta?! Mój Boże, jeszcze ku-pa czasu...

W sumie – nic wielkiego. I świetnie, że tak. Przecież nie można ciągle o same tylko potężne sprawy tba rozbi-jać. Nieprawdaż? Jakby rzekł Witkacy – nie można tak ciągle, gdyż jak jest ciągle, to się wszystko zmienia w wą-gle. Farsa w Teatrze Ludowym jest zwyczajną ulgą nor-malności. Nie Szekspir, nie gruntowna reperacja świata, nie ból istnienia, nie zagwozдки dzieci głodujących w Afryce, nie trudny byt polskiego żołnierza w Iraku, nie bezrobocie, nie „robocie”, nie afera orlenowa, nie posłań-ka Beger na studiach, nie „nie ma co do gara włożyć”, oraz nie nieszczyśny Piotr Perypatetyk Najszub, ten So-krates nadwiślańskiej telewizji, z regularnością napastli-wego maniaka pretensjonalnie szukający dziury w ca-łym. Nie, nie i raz jeszcze nie.

Ani tych, ani miliona innych problemów naszej współczesności Fedorowicz pospół z Chapmannem i Lloydem – nie dotykają. Oni zwyczajnie robią sobie z nas i siebie bosko durnowate „jajka” sceniczne. Jak na rasowych „farsiarzy” przystało, dwie wieczorne godziny nasze – w czas naszego rechotu zmieniają. Oni dali ten przysłowiowy ser, ja głupotę swoją, więc pomiędzy śmiech falował, bo musiał. Śmiech o niczym, śmiech

w żadnej sprawie, śmiech nie uwikłany, śmiech bez pod-tekstów, śmiech, który pragnie być tylko sobą. Śmiech czysty.

No bo, czy może być coś brudnego w strzeliście głup-kowatej historyjce o dwóch właścicielach firmy przewo-owej, którzy, chcąc ten swój upadający biznes dobrze sprzedać, przez tzw. zbieg okoliczności żony swoje kon-trahentom wystawiają jako panienki z agencji? Stanley Bigley (Tadeusz Łomnicki) i Norman Harris (Krzysztof Górecki) dzwonią gdzie trzeba. Wynajmują apartament w londyńskim hotelu, apartament z widokiem na Big Be-na. Organizują fachową aprowizację – „Jaś Wędrowni-czek” (Red Label), piwo i coś do przegryzienia. Finalny szampan grzecznie się chłodzi. Wszystko dopięte na ostatni guzik, zwłaszcza marynarki. Pozostało tylko cier-pliwie czekać na wspomagające damy, na kupców z za-chodniej Europy, czyli na Szweda Swena Ubergą (Jacek Wojciechowski) i Niemca Kurta Hoffmana (Jacek Joniec), oraz na wyteśnione podpisy na akcie kupna-sprzedaży. Aliści...

Tak się otóż złożyło, że panienki – Sabrina (Patry-cja Durska-Mruk) i Valerie (Urszula Sadowińska) – nie mogą przybyć, za to przybywają i w role dam wspomagających wchodzi żony, Hilda Bigley (Mag-dalena Nieć) plus Kochan jako Rose Harris. No i chy-ba nie muszę mówić: w kluczowym momencie zamó-wione profesjonalistki się jednak – pojawiają! Zaczyna się polka, zaczyna się galopka, rozkręcać zaczyna się spirala farsowych bon motów. Idiotypem ściga idio-tyzm. I dobrze! Paranoja na rękę się z paranoją siłu-je. I bravo! Kretynizm w pysk leje kretynizm, które ze swej strony flekuje kretynizm numer trzy. I jeszcze lepiej! A w samym sednie tych farsowych igraszek –

właśnie Kochan. Gdy wchodzi po raz pierwszy – po-wietrze wokół łagodnieje.

Nie, wcale nie daję do zrozumienia, że cała reszta wymienionych artystów na jakimś dnie aktorskim się znajduje. Wręcz przeciwnie! Nic jednak poradzić nie mogę – Kochan zwyczajnie dobrze się ogląda. Ta jej Rose, ta „rózyczka”, ta „żonka-krupcia” jest ulepiona z samej delikatności. Żadnego nadmiaru w gestach, żadnej intonacyjnej fanfaronady ani okrucu zbędne-go spojrzenia. Słowem – lekkostrawny smakotyk. I tak na dobrą sprawę, gdyby przedstawienie Fedorowicza porządnie zważyć, zmierzyć i podliczyć – niewiele mniej dałoby się powiedzieć o całości. Niewiele mniej, bo na ten przykład, znęcanie się nad stylistyczną prze-ciętnością Chapmanna i Lloyda – jakoś nie ma tutaj sensu.

Nie ma sensu aptekarskie kręcenie nosem, bo gdy w ojczyźnie teatru, który prawie bez przerwy czegoś ode mnie chce, wreszcie pojawia się przedstawienie, które fundamentalnie niczego ode mnie nie chce – lekko wadli-we farfocle należy w kąć odrzucić. Trzeba po prostu wstać i się przejść, wspominając czas zmierzchów gaszących kuliste lśnienia brunatnych skór kasztanów pod nogami. Idzie się, idzie i idzie, albowiem – tak się sobie idzie. I do domu jakoś nie skoro wracać. Jest dobrze. Jest dobrze – po ludzku. Która to godzina? Dopiero ta?! Mój Boże, jesz-cze kupa czasu... W górze ani cienia obłoków. Ulga wkra-cza do płuc.

Teatr Ludowy. John Chapmann i Jeremy Lloyd „Biznes”. Reżyseria Jerzy Fedorowicz. Scenografia Elżbieta Krywsza. Muzyka Krzysztof Sz wajgier. Cho-reografia Monika Myśliwiec.

TEATR LUDOWY. „Biznes”

Ich dwóch i one dwie, ich dwóch i one dwie



KRZYSZTOF KAROLCZYK

Przyjemnie się też obserwuje przemianę porządných, choć znudzonych już małżeństw żon w nieco nieporadne demony seksu i wampy

Dwóch angielskich biznesmenów, ich żony, dwóch biznesmenów z Europy i dwie panienki z agencji. Luksusowy hotel i kontrakt na duże pieniądze. Z tych składników wyszła całkiem udana zabawa

Angielscy biznesmeni z prowincji przyjeżdżają do Londynu, żeby sfinalizować sprzedaż swojej firmy przewozowej Szwedowi i Niemcowi. Kontrahenci z Europy (Anglia, jak wiadomo, w Europie nie leży, i ta wyspiarska odmienność jest w „Biznesie” zabawnie ogrywana) życzą sobie eleganckich panienek do towarzysstwa. Panienki zostają zamówione, ale niespodziewanie żony biznesmenów, które miały pojechać grzecznie do domu, nadciągają do hotelu. Dwie prowincjonalne gąski w pretensjach muszą odegrać (całkiem zresztą chętnie) rolę panienek, bo splot okoliczności powoduje, że te właściwe nie przyszły. Żonom należy na sprzedaży upadającej firmy, bo przyzwyczały się do wygodnego życia, a skoro mają szansę wpłynąć na kontrahentów, to czemu z tego nie skorzystać.

Tak wygląda zawiązanie intrygi i pierwsza połowa spektaklu. I ta połowa jest lepsza. Postaci w farsie nie muszą być głębokie czy skomplikowane, ale muszą być wyraziste i interesujące, bo inaczej co nas będą obchodziły czyhające na nie (jak to zwykle w farsie) zagrożenia, zaplątania i zapętlenia. Czwórka głównych bohaterów „Biznesu” nakreślona została interesująco i całkiem – w ramach gatunku – subtelnie. Tadeusz Łomnicki (Stanley) jest zafrasowa-

wany i przytłoczony sytuacją rzutkim biznesmenem, Krzysztof Górecki (Norman) – fajdopowatym księgowym, w którym po alkoholu budzą się instynkty lwa i Casanovy. Przyjemnie się też obserwuje przemianę porządných, choć znudzonych już małżeństw żon w nieco nieporadne demony seksu i wampy. Z jednej strony ta sytuacja sprawia im radość (też dlatego, że ktoś je wreszcie docenił, a mężowie stają się zazdrośni), z drugiej – są nieco zakłopotane, bo przecież są damami. Magdalena Nieć (Hilda) i Małgorzata Kochan (Rose) mają dużo wdzięku i komediowego zacięcia. Cała czwórka nie ulega pokusom nadwyrazistości i łatwego rozśmieszania, dzięki czemu jest naprawdę zabawna i życiowo prawdopodobna.

Gorzej z pozostałymi bohaterami. Jacek Joniec (Kurt) i Jacek Wojciechowski (Sven) grają grubo i z przytupem. Dwie profesjonalistki, które wreszcie dotarły do hotelu (Katarzyna Zielińska i Karolina Porcari) – również. Byłoby zabawniej, gdyby panienki były nieco subtelniejsze i przynajmniej starały się udawać damy do towarzysstwa. Drugi akt, w którym następuje spiętrzenie całej intrygi, rozłazi się, traci rytm i śmieszy tylko chwilami. Ale i tak w sumie zabawa jest nie najgorsza. JOANNA TARGOŃ

Teatr Ludowy.

John Chapman i Jeremy Lloyd „Biznes”.

Reżyseria – Jerzy Fedorowicz,

scenografia – Elżbieta Krywsza,

choreografia – Małgorzata Myśliwiec.

Premiera 8 maja 2004 r.

Teatr Ludowy w Krakowie
John Chapman i Jeremy Lloyd

biznes

reżyseria: Jerzy Fedorowicz, scenografia: Elżbieta Krywsza, choreografia: Małgorzata Mysłiwiec, premiera: 8 maja 2004

PLUSY

1. Aby udać się interes, trzeba czasem trochę pomóc szczęściu. Na przykład wcielić się w role pań z agencji towarzyskiej, które mają wpłynąć na podpisanie najkorzystniejszego dla ich mężów kontraktu – sposobami niekoniecznie biznesowymi. Mało oryginalną, za to mocno powikłaną (jak to w angielskiej farsie) fabułę sprawnie rozgrywają aktorzy. Najciekawsze są dwa małżeństwa, szczególnie żony (Hilda – Magdalena Nieć i Rose – Małgorzata Kochan). Prowincjonalne, nieco pretensjonalne, znudzone monotonnym życiem i małżeńskim stażem potrafią zagrać na nosie mężom, a robią to zabawnie i subtelnie. Panowie są może bardziej schematyczni (safandula Norman – Krzysztof Górecki i nerwowy, energiczny Stanley – Tadeusz Łomnicki), choć również zabawni.

2. Metamorfozy par małżeńskich (żon – w damy do towarzystwa, mężów – w amantów) pokazano bez przekraczania granic dobrego smaku i życiowego prawdopodobieństwa. Ciekawsze jest balansowanie między ukrytą, „porządną” mieszczańską naturą bohaterów a przybraną maską obyczajowej swobody. Tyleż męczą się w swoich nowych rolach, co czerpią z nich satysfakcję.

3. Żywa, naszpikowana perypetiami akcja gładko zmierza ku happy endowi.

MINUSY

1. Pozostała czwórka aktorów (dwóch zagranicznych biznesmenów oraz dwie panie, przybyłe niespodziewanie z agencji towarzyskiej) gra na jednym tonie. Oni (Jacek Joniec i Jacek Wojciechowski) – podrywaczy, one (Karolina Porcari i Urszula Sadowińska) – bezpruderyjne, zbławowane dziewczyny. Można było mniej konwencjonalnie pokazać te postaci. Byłoby i śmieszniej, i ciekawiej.

2. Tandetna scenografia, przedstawiająca pokój w londyńskim hotelu. Farsa to, rzecz jasna, przede wszystkim zręczne aktorstwo, ale czy na scenie musi być tak brzydko?

Agnieszka Olczyk

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, Scena Miniatura
Daniel Odija

tartak

adaptacja: Daniel Odija, Agnieszka Olsten, reżyseria: Agnieszka Olsten, scenografia: Teodor Sobczak, muzyka: Marcin i Bartłomiej Oleś, premiera: 17 września 2004

PLUSY

1. Zaskakująca organizacja przestrzeni; widzowie otaczając ze wszystkich stron pole gry, oddzieleni ścianą, jak podglądacze patrzą przez wąską szparę. Naprzeciw widzą innych widzów – którzy sprawiają wrażenie, jakby patrzyli z okien zdezelowanego autobusu, zza krat sklepu spożywczego, z baraku. Nie wiedzą, skąd podglądają, bo nie da się spojrzeć od środka na oddzielającą ścianę. W zamkniętym prostokącie sceny znajdują się cały czas aktorzy – jak eksponaty czy zwierzęta na wybiegu. Jak ludzie z innej rzeczywistości.

2. Czas został zawieszony. Początek spektaklu to długa pieśń, której towarzyszą – traktowane jako instrumenty szarpane – zdezelowany magnetofon i kraty, zza których patrzą widzowie; pieśń, która opowiada może o początkach świata. W tym świecie istnieje jakaś przeszłość, przywoływana choćby w wyśpiewanym micie założycielskim, przytaczana w urywkach wspomnień postaci, odwołaniach do jakichś zdarzeń. Wszystko po to, by odsłonić dramat szalonej egzystencji ludzkiego świata, w którym nic istotnego już wydarzyć się nie może. Uczucia wzbierają, zdarzają się konflikty, ale wszystko jest pozorne. Jedynie sytuacja zamknięcia w niezmiennym gronie tych samych osób jest stała. Obraz zawieszenia w beczasie terażniejszości przekazany został bardzo dojmująco.

3. Adaptacja tekstu, dokonana przez reżyserkę i autora powieści, polega na zatrzymaniu zdarzeń (choć i w samej powieści nie dzieje się znów tak wiele). Bohaterowie spotykają się ni to przed sklepem, ni to na przystanku. Gadają, słowa płyną, lecz za nimi kryje się jedynie chęć zabicia czasu, bo treść komunikatów jest prawie zerowa. Z tej magmy niedopowiedzeń, kaleczonego języka, rodzą się postaci. Uwypuklone zostały także sakralne wątki dotyczące natury świata, sytuujące wszystko w mitycznej otoczek. Rodzi się paradoks. Gdzie jest miejsce Boga i sacrum w czasie, gdy wszystko się zdewaluowało, gdy dobro czy zło to już niezrozumiałe pojęcia?

4. Interesujące aktorstwo. Choć bohaterami są ludzie z popegeerowskich wiosek, sposób gry nie ma nic wspólnego z naśladownictwem czy parodią. Podpatrzone cechy mieszkańców wsi, ich sposób mówienia, przełamane są ironią. Wrażenie jest takie, jakby połączono „pie-rzezywanie” Stanisławskiego z efektem obcości Brechta oraz kapryśnym zaniechaniem gry na dodatek. Aktorzy budują postaci o wyraźnych zindywidualizowanych cechach. Każda z nich, mimo zdobytej sympatii widzów, przeraża swoją pustką.

Tadeusz Kornaś

Teatr Groteska w Krakowie,
Carlo Collodi

pinokio

reżyseria: Włodzimierz Nurkowski, adaptacja: Aleksander Nurkowski i Włodzimierz Nurkowski
scenografia: Jan Polewka, choreografia: Paweł Aigner, premiera: 18 września 2004

MINUSY

1. Zbyt mało magii. Historia o dobrym i mądrym pajacyku, który stał się człowiekiem, w małym stopniu wykorzystuje motyw cudowności. Sposób wykreowania świata Wróżki jest najlepszym przykładem. Niesamowitość zdarzeń zostaje zachowana jedynie w warstwie słownej. Zabrakło oryginalnych pomysłów plastycznych.

2. Od widowiska utrzymanego w konwencji komedii dell'arte, odwołującego się do tradycji Strehlera, wymagać należy więcej fantazji. Chwilami zbyt wolne tempo i brak finezji sprawiły, iż gagi nie zostały odpowiednio wygrane.

3. Brak wyrazistego zarysowania przemiany Pinokia w człowieka. Koncepcja trzystopniowej ewolucji: lalka – chłopiec – aktor to ciekawy, lecz niedopracowany pomysł. Słabo zaznaczone są różnice w sposobie poruszania się aktorki, w efekcie czego finał (po przemianie Pinokia-lalki w Pinokia-chłopca), w którym obok funkcjonują drewniana kukła i aktor, pozostaje tylko najprostszym symbolem.

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie,
Scena Miniatura

iuvenilium permanens

na podstawie tekstów Stanisława Ignacego Witkiewicza, adaptacja: Rafał Dziwisz, reżyseria: Tomasz Wysoki,
scenografia: Barbara Guzik, ruch sceniczny: Iwona Olszowska, muzyka: Tomasz Budzyński, premiera: 26 maja 2004

PLUSY

1. Króciutkie sztuki napisane przez ośmioletniego Stasia Witkiewicza to nie arcydzieła, ale cechuje je cudowny brak poszanowania dla reguł logiki i prawdopodobieństwa, świeżość i niezwyczajność wyobraźni.

2. Scenariusz. W sceny z codziennego życia Witkiewiczów wplatają się: baśń o nieszczęśliwej miłości księcia Wisteljusa i księżniczki Magdaleny, kończąca się krwawą jatką, bajka o zbuntowanym, nieuprzejmym Słoniu i sztuka o inwazji karaluchów. Każda z tych części ma własne tempo i stylistykę (ich różnicowaniu pomagają muzyka i ruch aktorów – „drapieżny”, zwierzęcy w *Menażerii*, karykaturalny w *Księżniczce Magdalenie*). Tak różne fragmenty tworzą zgrabną całość; organizuje je i jednoczy wyobraźnia dziecka.

3. W przedstawieniu przenikają się różne plany: świat fantazji Stasia wdziera się w rzeczywistość i przekształca ją. Rodzina i znajomi Stasia zmieniają się w królów i księżniczki albo w zwierzęta. Na te dwa plany nakłada się jeszcze jeden – Błażej Wójcik gra dorosłego Witkacego, który jednak nie obserwuje zdarzeń z dystansu, ale bierze w nich udział jako mały Staś, niejako go zastępując. Staś i Witkacy raz się spotykają. Ten duży – zaskoczony, onieśmielony i wzruszony – powraca na chwilę do dzieciństwa, do poważnych rozmów na temat: „kto ma lepsze obcęgi”.

4. Spektakl zawiera elementy typowe dla późniejszych sztuk Witkacego: postać femme fatale, okrucieństwo i erotyka podszyta przemocą. W komedii pojawia się czasem niepokojący ton. I nie zgrzyta.

5. Mały Staś (Antoni Kuźmiński lub Miłosz Konarski) odznacza się naturalnością i wdziękiem. To godne podkreślenia, bo dzieci w polskich spektaklach i filmach zazwyczaj są przeraźliwie sztuczne.

Magda Hutny